za
hory
zon
tem

wp.

Muzeum Biblioteki,
które nie przechowa
gazetowego zapisem — o
którym wytłukowano
„za horyzontem",
rozsypię się razem
ze swoimi wierszami
— pamiętać jednak będę
o zaświatach o UBP
a szczególnie o jej
wielkim sercu — Damsi
Markowskiej

[illegible]

26. IX. 1988.

Jan Leończuk

za horyzontem

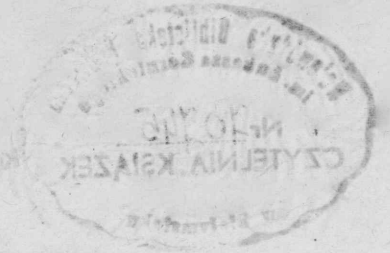

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
BIAŁYSTOK 1986

Opracowanie graficzne
GEORGI ANDREEW

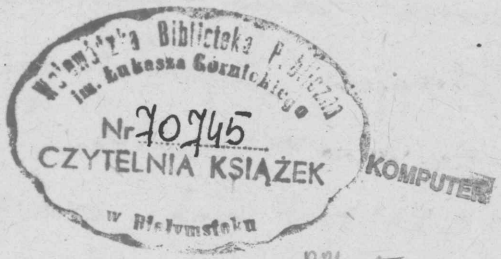

884-1

821.162.1-1

C Copyright by Jan Leończuk, Białystok 1986
C Copyright by Georgi Andreew, Białystok 1986

WALDKOWI MIAŁKOWSKIEMU
I JEGO NAJBLIŻSZYM

W WIERSZ

Kiedy w piecu gasło — zamykano w chacie szyber. Ciepło tuliło się wtedy do każdego kąta. Ściany płakały z uciechy. Lampa mrużyła oczy. Przychodzili ludzie z nocy, rechoczący i płaczliwi. Straszyło w chacie cieniem chapuna. Odmawialiśmy po cichu zdrowaśki. Dziadkowie schodzili do nas z portretów. Milkli strwożeni rodzice. Dziadkowie gadali i gadali...

O szyber uderzał wiatr coraz natarczywiej.

Wtuleni w kożuch słuchaliśmy — wiatru, snu...

Sierść przylegała do naszej skóry, porastając plecy.

Biegliśmy teraz wilkami osaczonymi. Coraz dalej od migotliwych, ciepłych światłem domów.

W wiersz.

Z LISTU

Chore ptaki przysiadują synku na przyzbie. Jesień nadchodzi w wietrze kasłającym suszącymi się szmatami. U sąsiada radio pęka radością i pyszni się chata tabliczką sołecką. Czasami, synku, przyjeżdżają opasłe taksówki, żałobne powagą, z dumnymi ludźmi. Wita się ich w ukłonach. Rozmawiają po miejsku. Słychać ryk tych z taksówek i śpiew bimbrowaty: „wychadziła na biereg katiusza...". Ojciec powtarza wtedy: — Będą znowu dzielić...

Wracaj, synku. Ptaki na przyzbie osowiałe. Trzeba z nimi po ptasiemu porozmawiać. Winckowa widziała znowu Matkę Boską jak szła od Grodna. I w Sokółce ją widzieli. Taka sama jak nasza, tylko bardziej wystrojona — w czerwone kozaki, w bistor i w jasną perukę. Mówią, że będzie straszna zima. Odmawiam sen Matki Boskiej Naszej — to śmierć będzie łatwa. A Petroluczka na nogi słabuje. Koty czarne głaska, a ból nie ustaje.

Ci z czarnych taksówek mieli okulary jak lusterka. Chmury w nich płynęły i ptaszki z naszej przyzby było w nich widać. Jeden z nich, oślepły, nie bał się przyjezdnych. Ropiejące oko utkwiło w oprawionych w złoto lusterkach.

Śmiech ich szkaradny ostał się w naszym podwórku

POCZĄTEK I KONIEC ODPUSTU

Odpust wybuchnął niespodziewanie — świderkami w uszach, wirującymi wiatrakami, gdzie wszystko się kręci, i balonikami, gdzie wystarczy mała igła dla uciechy... Pistolety, gwiazdy, zorro, zegarki na jeden dzień, cukierki z krochmalu. Tłoczyli się dorośli, nie odstępowały kramów dzieciska. Ksiądz przekrzykiwał wrzawę straganów, grożąc wszem i wobec brudną sadzą piekieł. Staruszki dopadały ziemi coraz niżej, najmniejszą dostrzegając trawkę.

Krowy spokojnie skubały na wygonie.

Korki strzelały, a anioły otaczały kaplicę.

Dziewczętom pachniały jeszcze lizaki.

Mrok pękał śpiewem, butelkami wyblakłej bonanzy. Kobiety unosiły mężczyzn, poszukując marnotrawnych twarzy. Ksiądz z pustą tacą wchodził do nieba.

Świtało.

CZERWIEC

W czerwcu zamiast snu — ciężka machorka. Duszna noc łasi się młodą wdową. W piersiach kowal ze złomowiska, dzień po dniu, podkuwa łakome konie. Rżenie chlusta z piersi raz po raz. Na miedzach tylko trawa powstrzymuje śmiech.

I byłby zapewne pęknięty horyzont, pozrywane fastrygi rzeczne. I byłby koniec dla rogatych ludzi i moich cielęcych snów. I byłby to zapewne śmiech ostatni w wystudzone niebo.

A wreszcie, w tym rżeniu od sąsiada, byłyby moje słowa przetrzęsione jak plewy, rozpisane na rechot.

A potem już tylko pytania, natrętne pytania.

JEMIOŁA

Pod dziewicą, świętą Agatą, zestarzałą ciemnym kątem, wisiała jemioła.

Babka odmawiała na gałązkach jemioły codzienny różaniec, smarując je czasami miodem na dostatek. Anioły zlatywały się, aby zlizywać świeży miód. Brzęczało w chacie od nieszporów dziękczynnych, dalekiego lipcem śpiewu pszczół.

A wieczorem, pod dziewicą Agatą, dziwnie kładł ojciec swoje dłonie na dłoniach matki.

NIEDOKOŃCZONE PODRÓŻE

Na Jurowieckiej, w pekaesie, uśmiechnięte twarze, którym udało się przykleić nos w zapatrzeniu sytym. Rozmowy o Hawajach, wycieczkach, pomarańczach, znajomych dyrektorach, ministrach. — Nauczę rozumu — biegło zdanie w rozklekotanym niebie autobusu. Sąsiadce ze Zwierek wyrosły skrzydła. Ktoś zagrał na grzebieniu.

Za Dojlidami autobus ulatywał w niebo.

Znikał powoli w gęstniejącym ciemnością nieboskłonie.

W Zwierkach wysiadaliśmy z wyciekającą z siatek pogniecioną kaszanką, serdelkami.

Jacyś nieobecni.

ZA GROBLĄ

Za groblą dziewczęce łąki oddychały jak druhny na weselu. Prześcigały się kwitnąc, ich zapach otulał wszelkie niedospanie. Jakiś śmiech czaił się w łące, wczołgiwał w skórę pachnącą snem i pościelą, łasił się jak pies sąsiada. We śnie poznałem ciepły, znajomy oddech. Potem niebo unosiło sukienkę, coraz wyżej i wyżej. Bezwstydnie patrzyłem na obnażony dzień.

Za groblą odezwała się pszczoła. W bzyczeniu uniosła drobinę mojego marzenia. Jakiś motor dławił się. Palacze ponoć szybciej umierają...

Za groblą przeliczyłem grosiki, potem marne złotówki lat. W dodawaniu i odejmowaniu było całe życie.

WIELKI POST

Tuż po Popielcu, unurzane w błocie i w skrzepach śniegu, wracały do wsi karnawałowe lalki. Bezrękie wygrażały niebu. Czołgały się z trudem. Dziecięca naiwność gasła w niemym zawodzeniu, a pulchne ich ciała pokrywały liszaje.

Wieczorne niebo pęczniało od modlitw, różowiało nad lasem resztkami blednącego karnawału. Starzy ojcowie płakali, zwieszając ciężkie dłonie na płocie.

Przed wsią stały kobiety w świątecznych fartuchach. Podnosiły kalekie lalki. Tuliły do swoich wymarłych piersi.

— Ten chłopczyk, podobny do aniołka z uciętą rączką, niech zostanie moim wnukiem...

Lalki umierały w ciepłych dłoniach.

Pogrzebano je tej samej nocy przy wioskowych krzyżach.

Kobiety długo potem zawodziły modlitewnie do nieba, prosząc o wieczne zmiłowanie. Lament ich mieszał się z klaksonami przejeżdżających samochodów. — Zabobonne dzieciory — rzucił ktoś zza opuszczonej szyby auta.

Pomarłe dzieci często jeszcze przychodziły po pogrzebie. Skamlały nocą u drzwi, prosiły o strawę, groziły.

Postanowiono je ochrzcić. Nadano im wiejskie imiona.

Uciszyło się już następnej nocy.

Słychać było tylko śpiewy z krzyżowej drogi.

ZNIERUCHOMIENIE

Zimą tego roku powróciły ptaki. Podarte skrzydła rozwiesiły na niebie. Znieruchomiały bólem i mrozem. Nocą oświetlał ptaki księżyc, atrament snu mieszając z nagłą krwią. Wiatr śnieżny dławił im oddech. Wydawało się wtedy, że ptaki żyją jękiem wiatru w podziurawionym niebie.

Sąsiedzi wróżyli niespokojne lato.

Ojciec czyścił kawaleryjską szablę, na którą zakradła się bagnista rdza.

Dzieci strzelały z procy do wiszących ptaków.

Bawiły się w wojnę.

Którejś nocy ptaki odleciały.

Sąsiad czytając codzienną gazetę dojrzał plamy krwi, zalewające pospiesznie dziennikarskie doniesienia.

DZIUPLA

Opuszczona dziupla. Ptaki udały się na emigrację. Jesień biegła na przełaj, przez pola. Serce wycięte scyzorykiem na skórze drzewa smutniało wspomnieniami. Przebite strzałą, nie wydawało już żadnego głosu.

Spadł pierwszy śnieg. Wiersz przyczajony przeniósł się na makatkę z rosochatym dębem. Przemierzał teraz częstochowskie trakty łobuzersko zadowolony.

Z dziupli na makatce wyjrzały pisklęta. Upudrowany myśliwy ruszał zalotnie oczyma. Dumne łabędzie pływały po atramentowym jeziorze. Śmiały się filuterne amorki.

Umarłe drzewo ścięto. Paliło się teraz pod płytą kuchenną nieme i dalekie.

Pisklęta w dziupli nie rosły. Makijaż myśliwego spływał na podłogę. Łabędzie pierzyły się zakłopotane.

Płonące serce szeptało tajemnicze zdania.

DOM

Okna ślepły z dnia na dzień, obramowane krzyżem, krótkowzroczne, z resztkami drżących szyb
Dzwoniły tęsknie w południe.
Któregoś dnia spokój począł drętwieć.
Potem przyszli chuligani i dobili szyby.
I wiatr zażartował.

Miejska Biblioteka Publiczna im. Łukasza Górnickiego
Nr 17
CZYTELNIA KSIĄŻEK

NAPIS

Na murze pobliskiego klasztoru ugrzązł krzykliwy napis. I fresk, z którego ulatywał anioł. I cisza tak głęboka, że słychać było jego ludzkie serce.

SYN

Pośród nocy syn dotyka mojej dłoni, głaszcze przebudzone włosy. Sen znowu płynie wartkim potokiem: na łące — motyle i syn z siatką uciekają w nadciągającą burzę.

Wydoroślał w następnym śnie. Była to sobota i czas kieszonkowego. We wsi wyły psy. Chichotały dziewczęta...

Do domu z rzadka już wracał.

Ktoś powiedział, że będzie wesele i korowaj.

Bezsenność i samotność kołatały do drzwi.

Z PAMIĘTNIKA

Za progiem ścieliła się łąka. Skrzypiały drzwi. Hałasowała wiosna. Słoneczne kichanie mieszało się z mgłą. Ktoś pospiesznie namalował rosochaty księżyc, poprzyklejał złociste gwiazdy.

Grała harmonia.

Remiza pęczniała od chutliwych nawoływań.

Nocą zamiast deszczu lało się dojlidzkie piwo.

I mógł się pojawić wtedy król Herod zwabiony zapachem łąki, Salome z bochenkiem sczerstwiałego jesienią chleba albo zbłąkany milczeniem młodzieniec.

Przyszły dziewczęta. W niebie zaskrzypiały drzwi.

ANTOŚ

W gminie pachniało urzędowaniem. Z namaszczeniem sortowano stosy papierów. Sylabizowane literki odbijały się od kanarkowych ścian. Pani kierownik zaciągała się raz po raz dymem kentów — łyknęła ociupinkę kawy, przekręciła tarczę telefonu, wyjęła teczkę z biurka. Kawa. Papieros. Kawa.

Za oknem szalało słońce. Wciskało się pod sukienki. Kłóciło się z perfumami.

Patrzącym w okno urzędniczkom kleiły się malowane rzęsy.

Krztusił się traktor. Zaśmiał się Antoś z geesu.

Dziewczęta zapachniały akacją.

Pani kierownik patrzyła za okno.

Papieros tlił się samopas.

Pot zalewał piersi.

Ktoś zapukał.

OCZEKIWANIE

Jesień tego roku odeszła dość wcześnie w chlupotaniu gumiaków. Liście mieszały się z błotem. Nasrożony i kąsający mrozem wiatr przepędził ktoś dopiero po północy. Zbieraliśmy pospiesznie bieliznę.

Nadeszła kulawa w śpiewie noc. Rodziła się kolęda, jeszcze przełamana, jeszcze nieśmiało pączkująca. Za gospodą geesu zawieszono napęczniałe ciemnością gwiazdy.

Otwieraliśmy teraz drzwi domu na każde pukanie.

Pozamykaliśmy szopy i obórki.

TAM

Na pokaleczone nogi wciągały dziewczęta kolorowe pończochy, szminkowały spękane wargi, patrzyły długo w lustra. Noc pachniała wodą kolońską. Łąki odzyskiwały świąteczny, sobotni jeszcze szept.

Z miasta jechały pijane ze szczęścia autobusy. Gdzieś tam tańczyły karuzele, migotały kolorowe żarówki.

Za lasem i długim polem było miasto. Ludzie przytuleni wędrowali wprost do nieba. Ciemne bramy, zaułki, uliczki jak pytania, taplały się w dzikim śmiechu.

We wsi kurczyły się chaty.

Rodzice budzili się z krzykiem.

Malwy pięły się coraz wyżej.

Pachniało piołunem.

REPORTAŻ O BEACIE K.

Nadciągnęła pierwsza, wiosenna burza. Sny zdrowiały wyzwalając się z zimowych pierzyn. Wieś przeciągała się leniwie po pierwszym łoskocie.

Po burzy dziewczęta otwierały we wsi okna. Szczebiotały w nich pelargonie. Tercet Egzotyczny szalał nadchodzącym latem.

Do Beaty Karpiejko przyjechał szwedzkim autem Jaś z Dubin. — Europejski styl — cmokały rozkosznie dziewczęta. Potem, przy nie zasłoniętych oknach, popijano kolorową wódkę. Beata śmiała się świątecznie, dziobiąc jajecznicę na skwarkach. Z uwielbieniem patrzyła na Jasia. Tercet Egzotyczny szalał już na całą wieś.

Jaś pojechał do innej.

Odtąd Beata wieczorami chodziła na łąkę po kaczeńce. A kiedy przekwitły, wyjechała do miasta.

— Jakaż ona musi być wielmi ważna — mówiono. Chodzi tylko po peronie, a blask jaki od niej bije, taka forsowna.

I znowu była wiosna, i kwitły kaczeńce.

ODWIEDZINY

Łońskiego roku przyjechał do naszej wioski Wielki Pan. A jak jechał to piach gnało, aż pod niebo. Dzieciska uciekały od tego samochodu daleko w pole. Mówili ludzie, że takie to krew zabierają.

W sołectwie odbyło się Nadzwyczajne Zebranie. Wszyscy my patrzyli na wielkopański szyk. Pan mówił długo i zawile. Oniemiali, patrzyli my jak po miejsku gadają.

Podatków po jego wyjeździe nie podnieśli.

Wiersze nam swoje rozdał, nadrukowane na żółtym, pachnącym papierze. Niektórzy potem palili w nim machorkę. Smakowała jak tytoń amerykański.

Jeden wiersz to nawet mi się zapamiętał:

„na wszelki wypadek obywatele
guziki prawdy lśnią
szelki bezpieczeństwa podtrzymują
pasek zgody potwierdza
pelisa dodaje otuchy
abyśmy rośli w siłę
abyście żyli dostatnio

na wszelki wypadek obywatele
czapka niewidka"

A był w kapeluszu. Reszta by się zgadzała. Był to chyba dobry człowiek, ten Wielki Pan, pił z nami, naszym chlebem nie chciał zagryzać, tylko wąchał i wąchał.

CUD

Zaledwie rozchylił się dzień, matka biegła za miasteczko, gdzie rozmawiała często z Matką Boską.

Kiedyś przyniosła najwspanialszą relikwię, kraj sukni Matki Boskiej.

Zdziwieni, oglądaliśmy ścinek fastowskiej tkaniny.

SUPLIKA

A u Pana Boga, za piecem, ogonek interesantów. A to w sprawie przydziału narzędzi, a to w sprawie przydziału świętych do wyludnionych kaplic, Aniołów Stróżów do zbyt wąskich kładek.

A Pan Bóg siorbie strawę. Spokojnie z ukontentowaniem przechyla głowę. Wielu jeszcze potrzebuje jego pomocy.

W kolejce ojciec przestępuje z nogi na nogę, pali papieros za papierosem, stojąc na niebieskim gumnie w sprawie przydziału żniwiarzy.

A Bóg rozłożył bezradnie ręce. — Złożyć podanie — powiedział. Rozpatrzymy.

POETA

Wydziedziczony z własnego sumienia, na cudzych miedzach szukał wykałaczki. Chwalił, gdy było trzeba, wyrzuconych bogów. Czasami objeżdżał jak inspektor pola wyobraźni. Wracał i wykłócał się z papierem.

Dzisiaj postanowił zmienić płodozmian.

Ponoć kontraktuje buraki cukrowe.

MAŁE MIASTECZKO

Wdowy małych miasteczek zamarły w długich litaniach oczekiwania na elenium. Pachniało śledziem z karczmy Judelichy i żółtą lemoniadą. Magistrat pospiesznie opuszczał narożną kamieniczkę w rynku. Dudniły ostatnie dorożki. W kościele śpiewano: „Od powietrza, ognia, głodu i wojny, zachowaj nas Panie".

Do nowego urzędu wzywano coraz częściej. Niosło się zbożowym bimbrem. Sąsiad zawodził dalekim śpiewem, tęsknym a stepowym.

Zapach przyczajonej waleriany błądził w wyciszonych uliczkach. Na rynku zbudowano pomnik Nieznajomego. Trzymał w dłoniach książkę jak Ewangelię. Mówiono potem, że był krótkowidzem.

Pomnik zburzono. Judelicha i cały kahał płakał nad losem Nieznajomego.

Wdowy małych miasteczek zaciemniały okna, kładąc się w pustą pościel.

Starość przyszła tak nagle.

W ŁUBNIKACH

Za Łubnikami droga zasapana, po pachy w piasku. Duszne lato rozczynia w dzieży chleb urodzajny. Kiedyś opowiadano o czartach i łamanych osiach. I księżyc ponoć śmiał się złowieszczo, mrukliwy teraz jak baba po północku.

Piach.

Droga do Skrybicz, Białegostoku, Donikąd. Porośnięta zielem pachnącym. Na piasku tylko wiatr żartobliwy.

W Łubnikach nie szczekają już nocą stare, głuche psy.

SIERPIEŃ

Mówili poprzedniego dnia, że koniec świata się zbliża. Najgorzej umierać będzie tym z miastowych bloków. Bo i do czego mają się pomodlić? Do wioski wrócić już nie zdążą.

Za chmurami wisiała znowu warstwa denaturatu. Niektórzy widzieli w ołowianym niebie, które nocą zaciągało się ciemną zasłoną flegmy, bimbrowate kształty. Księżyc przedzierając się przez zwoje ostrzeżeń zerkał złowieszczo. Unosił się zaduch pospiesznie oddawanej uryny. Śmiechy dziewcząt ucichły, rozpłynęły się w ostatnim cichodajstwie, jak mawiała Hryhorycha.

Sąsiad przykrył betonowy silos sklepieniem z worków cementu. Znoszono pospiesznie dywany, urządzano się w jego wnętrzu. Z telewizora sączyła się dobranocka, Bolek i Lolek udawali się do Nieznanej Krainy.

Cisza wisiała nad wsią, gdy podawano ostatnie wiadomości.

— Job jeho mać — usłyszeliśmy nad ranem krzyk sąsiada.

Słońce pięło się coraz wyżej, ryczały nie dojone krowy.

ZA SIÓDMĄ GÓRĄ

Za mijanym wzgórzem wyrosło następne wzgórze. Siódme rzeki, siódme poty spływały po wyblakłych bajkach, zmęczonych cywilizacyjnym pędem. Niedokończone, wystraszone zbuntowanym królewiczem, uciekały teraz ze strony na stronę, rozrywając wiersze.

Lato zwisało jak sen napoczęty, przerwany pierwszą wiosenną burzą.

Przebudzona sierotka bawiła się kolorowymi zabawkami. W telewizorze uroczyście przemawiał Telesfor.

Noc ściągnęła odpustową sukienkę. Napalił się młodzieńczo księżyc. Wiatr zatarł dłonie.

Dzieci spały. Królewicz wszedł do zamku.

Na przedmieściu Wielkiego Miasta oczekiwała kobieta. Uśmiechała się, kiedy mężczyzna był przy niej. Gwiazdy mruczały.

Potem księżyc posapywał.

Za siódmą górą, za siódmą rzeką nie stwierdzono tej nocy nic szczególnego.

W DOMU

Ciężki dzień przetoczył się sapliwie nad domem. Odmłodzone powietrze wirowało wokół twarzy pochylonej nad miską ze zsiadłym mlekiem.

U sąsiada mocował się traktor.

Przez otwarte okno wpadła mucha.

I weszło do mieszkania wiele snów zdrowych i pokaleczonych, wspomnień prychających młodością i jękliwych niepokojem.

Rozpalony, coraz szybciej zataczałem kręgi po izbie. Zsiadłe mleko pachniało już krupnikiem.

Gdzieś, daleko za horyzontem, śmiał się ojciec w dogasającej burzy. W nocy świeciłem żyrandolem z kryształowymi sopelkami.

MISTERIUM

Trawy zaczęły gzić się tego ranka, tuż po pierwszym zawodzeniu kogucim, które odleciało do nieba, aby przepędzić zaspane obłoki. W otwartej sieni słoneczniła się niedziela. Wzdychały pierzyny w kolorowych nawleczkach, rozwieszone na płotach. Wśród tańczących opłotków, w krochmalonych koszulach, szli mężczyźni w pole, za nimi kobiety i dzieci. Pachniało świąteczną golonką i kapuśniakiem.

Nad lasem unosili się wciąż Tamci z szablami wymarzonych dni.

Ojciec czynił znak krzyża. Patrzyliśmy długo w niebo.

Żegnaliśmy
ciemny czas.

SOBOTA I

Za stodołą zagrała harmonia. Fałdowane spódnice spęczniały. Śmiech, zaplątany w figlarne chmurki, okrążał całą wieś zapowiadając zabawę... Walczyk w wyglansowanych butach przytupywał nadchodzącemu oberkowi. Lśniły lakierki.

— Hula — hop, hula — hop — zawodził sołtys. Bistor ociekał potem. Garnitury opadały, krawaty więdły. Ciepło zalewało plecy. Serca gulgotały. Dudniło pierwszą burzą. — Trawa będzie dobrze rosła — szeptały kobiety.

Chichotały dziewczęta.

OJCIEC

Zielone niebo dniało coraz częściej.

Ojciec wyciągał głowę i wywąchiwał wiosnę. Potem szedł do świronka, gdzie zapadał w pacierz. Świronek dudnił jak pusty żołądek, posapywał śpiewnie, czochrał się jak wyleniały pies. Ojciec odmierzał ziarno, kwarta po kwarcie, wianuszki święcone dosypywał, coś mieszał; wkładał między zęby nasiona, długo je żuł...

Wreszcie niebo się wybieliło. Widocznie pomyślano o świętach wielkanocnych, jako że w górze dudniło i dudniło...

W domu maglowano odświętne prześcieradła.

Przetoczyła się burza.

Któregoś dnia, jeszcze ciemnym rankiem, ojciec wyszedł z domu. Wchodził w miękkie zagony, coraz bliżej otwartego nieba.

PIERWSZA ŁĄKA

Na łące wyrosła jabłonka. Nocą pojawiły się pierwsze owoce oddychające niespokojnym poczęciem. Pod jabłonką — rodzice, zawstydzeni tym nagłym narodzeniem. Od Zwierek zagrzmiało wiosennym przebudzeniem. Zazieleniło się niebo utreniją.

Na sianie, daleko od jabłonki, przecierałem zdziwione życiem oczy. Ciało pokrył pierwszy pot.

Sól pozostała na języku.

I życie.

CZAS ZA CZASEM

Zamyśleni starcy z żołnierskim rozrzewnieniem opowiadali o dziewczynach, które zniknęły za horyzontem, wygnane wojennym krzykiem. Palili niedzielną machorkę.

Spoglądając na łąkę i kwitnącą trawę na długo milkli.

Tymczasem dzieci za płotem bawiły się w wojnę.

Na wygonie pasły się spętane konie.

Dzieci dorosłały, zatrzymując się coraz dłużej przed lustrem.

Pordzewiałe konie pasły się dalej.

Aż kiedyś w starych koniach zaszemrała krew, zarżały źrebięco. Horyzont pękł nagłym płaczem.

SZTAMBUCH

Aniołki pierzyły się od pierwszej strony. Podziurawione strzałami serca odpoczywały w archanielskim puchu. Uwiązane do wstążek gołąbki zaginały sekretnie narożniki kart i lat: kocha, nie kocha, zapomina, przeklina, moja dziewczyna... Tyle zdań śpiewających...; i harmonia zagrała na piersiach Anki M. I północ przygnała bezdomne dziewczęta, aż czerwień bezwstydnych róż pobladła.

— Nie zapomnij — wołała Myszka Miki. W siedmiomilowych butach skradał się erotyczny kot.

Serca uciekały krwistym tuszem. Dziewczęce usta pokryła szminka, tłusta od pocałunków i zadowolenia. Dezodoranty pachniały biustem rozpustnym i „paryżami". Sukienki pęczniały sobotnim dreszczem.

— Kocha, nie kocha, zapomina, przeklina, moja dziewczyna — pojękiwało nudne serce.

Oskoma dni i pamięć sczerstwiała.

Z LISTU OPÓŹNIONEGO

Schowałeś się za horyzontem. I chociaż listy z kolorowymi znaczkami przelatują, to sny coraz płochliwsze. Kiedy wrócisz Jasiu zza siódmej góry, wypijemy piwo. Będzie już jesień. I dziewczęta z pożniwnym rumieńcem przytupywać będą nadchodzącej muzyce. Nylonowe halki zapachną dalekim Sztokholmem. Wejdziemy wtedy w taniec jak w sen, jak w środek lata.

I zstąpi noc. I duszność radosna otuli nasze ramiona. I chata zapachnie razowym progiem.

LUDZIE TAK MÓWILI

Dniało ociężale. We własnej krwi pławił się na wschodzie kur zabity przez świętego Piotra. A święty od jakiegoś czasu zajmował się dorabianiem wytrychów. Kłótnia kluczy zganiała ludziom sen z oczu.

Kiedy nudził się na plebanii, brał igłę i szył prujące się niebo. Przeciągał nić od wschodu do zachodu, aż kłuło blaskiem w oczy.

Często mawiał do siebie: — gdzie świętość, a gdzie życie?

W nocy podobno zapierał się w kącie plebanii.

Po trzykroć się zapierał.

Ludzie tak mówili.

SPOTKANIE LIRYCZNE

Skrawkiem snu przeleciał czarny motyl. Kędziołki uparcie nawoływały lato. I szła parność wzdychających waldyszków, które pięły się coraz wyżej, i sochoniów zakwitających w śmiechu dla śmiechu... Tańczyło zadowolenie. Akordeon rozciągał się w tym śpiewie na całego. I zagrała skóra do pierwszego potu, do krwi pęczniejącej.

Z łąki wynurzył się chłopak. Tajemniczo śmiał się do słońca i oślepłych gwiazd. Muskularne ciało wyśpiewywało nagą młodość. Z lasu dolatywał lepki rechot starców. Drwiły wyłysiałe i bezzębne lata.

Zestarzał się śpiew chłopca. W starczym mlaskaniu omdlewało jego ciało.

Płakały nie tylko jego sny.

NARODZINY WIERSZA

Wiersz się zrodził. Napęczniały rodowodem i krwią ciężko oddychał. Plastikowe lalki z uciętymi rączkami, skaleczonymi brzuchami leżały obok. Szklane oczy patrzyły w niebo. Ciemny budził się dzień. Pod sufitem drzemał zapity pająk.

Śpiewano pijacką kolędę.

Świtało w oczach. W sercu drzemała waleriana.

— Nie tędy, nie tędy — wołały zdania.

Na ukos uciekaliśmy przez pola, gubiąc niedospane wiersze.

IMIENINY

Zawaliła się noc pękających gumek i dartych nylonów. Tarło snów niespokojnie pogwizdywało wspomnieniami. Tylko łabędzie na makatkach pierzyły się spokojnie. Zza obrazów spozierała święta ciekawość. — "Kyrie elejson, kyrie elejson" — odmawiał deszcz pod okapem. — „Amen, amen" — paciorkowało mu wierne wiadro.

I ciemność była tak wielka, że choć oko wykol. Ojciec gramolił się do nieba. Leżanka na zapiecku pachniała wypoconą cegłą. Ściekały pierwsze krople samogonu. Bufiasta, krynolinowa przeszłość pęczniała pulchnymi dziewczętami. — Uuuuch, uuuuch — posapywały anemiczne fotografie.

Z oddali wracał śmiech ojca. Toczył się rechot wyblakłym niebem. I księżyc podniecony wisiał uparcie.

— Sto lat, sto lat — darła się rozpacz za płotem.

UCIECZKA

Pod wieczór niebo pociemniało od dyplomów. Brokatowe gwiazdki pachniały chlebowymi orderami. Od rynku szło stado nie zdojonych krów. Ryczało zmierzchem nagłym i podnieconym potem. Dziwowali się ludzie: — Toż nam nikoli nie dawali tulko hetaho dabra. Ot, szczaśliwyj czas nadyszou.

Poderwało nas wiatrem i uniosło nad ziemię.

Ponad chmurami w otwartym ikonostasie nieba stał Sakrat.

Uśmiechnięty witał nas po swojemu.

A nas gnało coraz wyżej i wyżej w ciemne niebo.

MIASTO

W mieście pachniało młodziutką seradelą zwieszającą się ze skrzynek balkonowych i hardymi malwami. Mdliło od toukanicy ze skwarkami. Krzyczały gazety.

W otwarte niebo śmiał się szczur.

Chichotały niewinnie wiejskie myszy.

I echo gnało co sił na przedmieścia, powtarzając: zaplanowaliście, wykonaliście zgodnie z harmonogramem, narzucaliście odpowiednie tempo, zażegnaliście złe opinie o dobrej robocie, zasłużyliście na miano..., usprawniliście system, nagrodziliście społeczeństwo własnym oddaniem sprawie, byliście jak..., wyście a nie kto inny, na was liczy cały naród, wyście zaplanowaliście, wykonaliście, zasłużyliście...

Od powały nieba odbijało się iście.

I było tak uroczyście, tak nabożnie, że upadliśmy na kolana, zrazu na jedno, a potem już na obydwa.

I cisza jak zaraza zawisła nad nami.

— He, he, he, — czkało brzuszysko.

Zadowolone szczury piszczały.

SOBOTA II

Jakoś pod wieczór, w barchanowym zawodzeniu, lecieli niebem księża na odpust, nadęci czarnymi sutannami. Z brewiarzami pod pachą. I niebo nad zachodem pachniało cukrowym lizakiem. Dziewczętom układały się powieki w niewinność, a chłopcom rozstrojone skrzypki jurnie przygrywały. Nawet księżyc chutliwy mościł się długo tej nocy, aż gwiazdki kolebały się z uciechy. I pewnie by pospadały, ale zwalista noc, jak zawsze, rozliczała z każdego mrugnięcia.

Przebudzonym kotom pachniała waleriana i mlaskały w żołądkach pachnące salcesony. Długo się przeciągały.

Księża, już za horyzontem, śpiewali jutrznię.

Świąteczny chleb pachniał tatarakiem.

Oddychała niedziela.

WIECZÓR I

Zdenerwowanie ojca udzieliło się otoczeniu. Niebo poczęło prychać. Astma wisiała w powietrzu. Pokasływanie niosło się po polach. Ojciec uderzał raz po raz głową w podłogę kaplicy, aż dygotali z przerażenia święci.

Tylko świece spowiadały się z całego dnia płaczącym woskiem. Mrok oddychał w kącie spokojnie.

Skarbonki śmiały się łaskotane grosiwem.

Święci powtarzali: — niech dzieje się wola boska.

Ksiądz pleban zapadał w sen.

Ojciec doganiał zagubioną modlitwę.

WIECZÓR II

Koń upadł na podwórzu. Chrapał jeszcze wierzgając nogami. Potem koński anioł nadleciał i zaległa cisza. W końskim oku przeglądały się resztki podwórza, matowiejąc w nadchodzącym wieczorze.

Nacą zaświeciły na niebie dwie podkowy.

Wtedy umówiłem się po raz pierwszy z dziewczyną.

Na smugu, tuż za łąką.

PADA DESZCZ

Do geesu, jak do cudownego miejsca, wiodła piaszczysta droga. Nieliczne drzewa wycięto przed laty. Sekretarka w bistorze — z różą sztuczną na piersiach. Magazynier bocznymi drzwiami dorabia sobie trochę grosza.

Pada deszcz.

Błoto chlupie.

Prezes zamyślony gryzie ołówek. Sekretarce falują piersi. Żniwna akcja nie rozpoczęta.

Prezes uśmiecha się, podchodzi do sekretarki, dotyka najpierw jej róży i szeptem przeprasza. — Niemazaco — odpowiada zadowolenie sekretarki. Białe jej ciało złoci się miejscami jak żyto jeszcze nie zżęte.

Transparent: Każdy kłos na wagę złota.

Prezes bada stan kiełkowania.

Magazynier siedzi w gospodzie.

Deszcz ciągle pada.

ZIMA

O Panno Hodyszewska, uśmiechnięta w obrazie — w dzień i w nocy — spójrz na moje niedospanie, na ropiejące oczy. Ciężkie dni wypełniają me plecy, w sercu zaś noc — osad brudnych spraw. Mija tyle dni, wymierzonych nie wiadomo w co.

O Panno Hodyszewska w ocieplonym kościele, jesień już — ziemniaki nie wykopane, ozimina nie wiadomo czy wyrośnie. I zima nadciągnie wydobywanymi z kufra kożuchami, i drogę do Hodyszewa zawieje śniegiem. Wczoraj zamieć, dzisiaj zamieć.

Siedzimy z kumplem na przypiecku, bimber w szklankach nam chlupie — no to siup! Wąchamy z nabożeństwem chleb, zjadamy kartofle ze skwarkami.

Panna Hodyszewska na strychu uśmiecha się coraz smutniej...

Kumpel zauważył moje łzy.

Zamieć złowieszczo śpiewa.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Łukasza Górnickiego
Nr 70745
CZYTELNIA KSIĄŻEK
w Białymstoku

SPIS TREŚCI

W wiersz 7
Z listu 8
Początek i koniec odpustu 9
Czerwiec 10
Jemioła 11
Niedokończone podróże 12
Za groblą 13
Wielki Post 14
Znieruchomienie 15
Dziupla 16
Dom 17
Napis 18
Syn 19
Z pamiętnika 20
Antoś 21
Oczekiwanie 22
Tam 23
Reportaż o Beacie K. 24
Odwiedziny 25
Cud 26
Suplika 27
Poeta 28
Małe miasteczko 29
W Łubnikach 30
Sierpień 31
Za siódmą górą 32
W domu 33
Misterium 34
Sobota I 35
Ojciec 36
Pierwsza łąka 37
Czas za czasem 38
Sztambuch 39
Z listu opóźnionego 40
Ludzie tak mówili 41
Spotkanie liryczne 42
Narodziny wiersza 43
Imieniny 44

Ucieczka 45
Miasto 46
Sobota II 47
Wieczór I 48
Wieczór II 49
Pada deszcz 50
Zima 51

Redaktor
Elżbieta Łagunionek

Redaktor techniczny
Małgorzata Waś
Bożena Rusiłowicz

ISBN 83-03-01344-0

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
BIAŁYSTOK 1986
Wydanie I
Z.G. Pisz, zam. 644 nakł. 5000+350 C-4
Ark. druk. 2,33; ark. wyd. 1,5
Cena 140,— zł